

Katarzyna
Klaska



ŁOTRZYCA

Nagroda główna w Konkursie im. Macieja Słomczyńskiego 2019

Łotrzyca

Tom I

Nie dowierzaj trupom

Seria Studium Literacko-Artystycznego UJ
pod redakcją prof. Gabrieli Matuszek

tom 20

Katarzyna Klakla

Łotrzyca

Tom I

Nie dowierzaj trupom



Kraków 2020

© Copyright by Ka Klakla, 2020

Opracowanie redakcyjne: Irena Gubernat

Projekt okładki: Ka Klakla

Projekt okładek serii: Ka Klakla

ISBN 978-83-8138-146-8

Publikacja dofinansowana przez Wydział Polonistyki
Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA

ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków

tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43

e-mail: akademicka@akademicka.pl

Księgarnia internetowa: <https://akademicka.pl>



Preludium

**W którym na krócej, dłużej lub na wieczność idzie spać
rozsądek, miasto Delvaros, Andryk i szczury.
Budzą się złudzenia, pragnienia i żądze, miłosne
lub mściwe, a także, mimochodem, świadomość.**

Funkcja intelektualna może też prowadzić do rezultatów emocjonalnie nieznosnych, gdyż niekiedy rozwiązanie pewnych problemów wymaga ukazania ich nierozwiązywalności.

Umberto Eco, *Pięć pism moralnych*

Usłyszała zza resztki ścian ich śmiech. Nerwowo rechot, w którym pobrzmiwała nuta szaleństwa.

Andryk. Kurwi syn, wyklęty jurgieltnik. Niech jego imię będzie zapomniane.

Znów się zaśmiali, jakby ubawiło ich nieme życzenie Zorii. I wtedy wszelkie zasady Statutu i rozsądku poszły precz. Zoria z żelazem w ręku przeskoczyła przez mur. Celowała na słuch. Trafiła. Usłyszała zdziwione westchnienie i wrzask pozostałej dwójki. Przetoczyła się w ziejącą mrokiem klatkę schodową, modląc się w duchu, żeby schody wciąż tam były. Przekleństwa, tupot podkutych butów, zgrzyt metalu i sypiący się gruz. Przeskoczyła przez balustradę na rumowisko w sieni i wybiegła na ulicę, między psy. Kilka odskoczyło. Pochyliły łby, wyszczerzyły zęby. Jeden, najbardziej zdesperowany, próbował dopaść jej uda. Kopniakiem posłała go na środek ulicy. Zniechęcony, wrócił do wyszarpywania resztek. Kątem oka Zoria zauważyła, że psy tarmoszą but. Nieduży. W środku wciąż tkwiła stopa.

Biegiem za róg, w bramę przekrzywioną smętnie na ostatnim zawiasie, w górę, na kruszący się mur. Dwa kroki, odbicie. Przeskoczyła na ocalały od pożogi ganek. Słyszała, jak ścigający wdrapują się na mur, kłac siarczyście. Żelazo pancerzy drapało tynk. Spojrzała

znad ramienia, chwyciła brzeg daszku i podciągnęła się. Na czworaka dopadła kalenicy, zsunęła po przeciwległej połaci z powrotem na znajome piętro z otworem schodów. Przyklejona do ocalałej ściany czekała, wyciszając oddech. Psy były głodne, a ona bardzo chciała je nakarmić.

Ogary śmierci nie miały ani potężnych karków, ani straszliwych zębów jak w opowieściach z morałem. Okazały się zaledwie kundlami. Warczące, wyszczerzone, o zapadłych bokach i rozgorączkowanych oczach przywodziły na myśl tańczący orszak śmierci. Węszyły wygłodniałe krwi i mięsa. Zorii przemknęło przez głowę, że żadna ilość trupów nie zaspokoi głodu tej kościejowej armii. Zdziçałe sfory przemierzą ten świat w poszukiwaniu nowych źerowisk i idąc tropem wojska, z pewnością takie znajdą. Głód jest mocniejszy niż strach czy nienawiść.

Zanim gniew kazał Zorii przeskoczyć przez mur, była zdeterminowana trzymać się planu. Odnaleźć chłopaka Charbinów, wywieźć go z Delvaros i nie dać się zabić. Rzeczywistość obróciła wniwecz ten nieskomplikowany plan. O ile można zaliczyć do rzeczywistości naturę Zorii skłoną do afektów, szkwałów, złodowaceń i pożarów. Kilka dni temu zatrzymała się we wsi odległej około dziesięciu mil od miasta. Gospodę szczelnie wypełniali uciekinierzy. Siedzieli, leżeli pod stołami, pod ławami, po kątach. Niemowlęta płakały, dzieciarnia przewalała się po całej izbie. Stężenie potu i kapuścianych woni zwałało z nóg. Karczmarka, tęga kobieta z zadartym nosem i krzywo zawiązaną chustką na siwiejących włosach, przywitała ją ponuro. Ktoś, kto jechał w przeciwnym kierunku niż bieżący i w dodatku uzbrojony, nie mógł liczyć na sympatię.

Były tylko kasza z omastą i kapusta w trzech postaciach, wszystkie o zbliżonym wyglądzie i zapachu. Nie mieli nawet chleba. Ale woda w studni była za darmo. Karczmarka miała wielkie serce. Zoria nie wybrzydzała. Zjadła, co było, przespała się w stajni, niewiele mniej tłocznej niż karczemne izby, za to bardziej przewiewnej.

– Zostawię konia. Zapłacę za obrok i stajenne.

– Widzicie, że u mnie ciasno, stan teraz ludziom, nie koniom, służy – odparła kobieta, mieszając poczerńiałą kopyścią w saganie.

W kuchni było parno. Karczmarka raz po raz ocierała rękawem spoczone czoło. Dwie milczące dziewczki i chłopak obierali bliżej nieokreślone bulwy wygrzebane z kopca i popatrywali spod oka na natręta.

– Muszę dostać się do miasta. Zapłacę. Jeśli nie wrócę do dwóch tygodni, koń jest wasz.

– Niech będzie.

Oszczędziła Zorii komentarza, że przez te dwa tygodnie jej koń będzie jadł lepiej niż nocujące w obejściu dzieciaki. A po dwóch tygodniach go zjedzą. Monety zmieniły właściciela. Karczmarka ruchem głowy nakazała kościstemu chłopakowi zająć się koniem. Wytarł ręce w fartuch i ruszył tylnym wyjściem na stan.

Krzesiwo, prowiant, woda, płaszcz, koszula i spodnie na zmianę, derka, nici, bandaże i zioła. I broń.

Zoria szła śladem wisielców, od żurawia do drzewa, od drzewa do przęsła mostu czy filaru bramy. Powieszeni opanowali pagórki jak wojsko, które zdobyło wzgórza. Otoczeni chmarą kłótliwego ptactwa i rojem much, kołysali się na wietrze w szyderczej namiastce życia. Mijała kamienne mureny, świeże kurhany i porzucone jak worek szmat sieroce zwłoki. Spalone, nadgryzione, poczerniałe, z grymasem jasnych zębów i pustym spojrzeniem. Na przedmieścia dotarła o zachodzie słońca. Czekąca na zmierzch wpatrzona w truchłość miasta.

Delvaros umierało przygniecione kożuchem dymu. Tkwiło w niemrawym oblężeniu, na okolicznych wzgórzach salutowały połowe działa, hufnice i armaty. Co jakiś czas leciały pociski, głównie w jedną stronę. Wątle miejskie mury, częściowo drewniane, wyszczerbiono lub spalono. Po obu stronach nie widać było szczególnego zapachu do walki. Miasto jakby zastygło, czekając na ostateczny atak, który z niejasnych przyczyn się spóźniał. O zmroku przedostała się za mury. Na przedmieściu wisiała zmęczona cisza. Tylko z od dali, gdzieś z serca miasta, dobiegało jednostajne wycie. Większość domów była spalona, w niektóre trafiły kartacze, pogrążając dachy i roztrzaskując ściany. Jedynie nitki dymu snuły się leniwie, niosąc słodkawy smród śmierci i rozkładu, nie do pomylenia z niczym innym. Za dnia było ciemno od dymów, nocą jasno od pożarów.

Peryferia cywilizowanego świata w pełnej okazałości i zadziwiający brak organizacji wśród oblegających. O oficjalnych strukturach dowodzenia nawet nie ma co gadać, bo to konstrukcja z gałęzi i starych szmat. Zalać pałę. Wpieprzyć komuś, nawet nie wiadomo w imię czego. I znowu zalać pałę. Tak to się kręci, jak gówno w potoku. I ja, w tym głównie po szyję.

Przywitały ją psy głodne i wściekłe. Żalotne i groźne. Rozprawiła się z nimi bez namysłu. To nie był najlepszy pomysł. W ciszy przedmieścia każdy dźwięk zwracał uwagę, a świeża krew przyciągnęła kolejną sforę. Pierwszych ludzi Zoria spotkała niewiele dalej, w podwrocu za bramą zamkniętą na głucho. Byli martwi. Zapełniali porzucony wóz. Miał spuszczone burty, żeby zmieścić jak najwięcej ciał. Odzież zdarta, mięso ogryzione do kości i muchy uczujące bez opamiętania. W dzień rojem, nocą mlaskaniem spasionych larw. Nie przeszkadzał im nocny chłód przedwiośnia, bo rozkładające się zwłoki zapewniały niezbędne ciepło. Zoria przedzierała się przez zgłiszczca w kierunku zwartych zabudowań. Gdzieś tam musiał być rynek, przy nim ulica Kramarska i bogata kamienica „Pod Koziółkiem” z kartuszem Charbinów nad bramą.

Miejsce na nocleg znalazła na ocalałym kawałku stryszku. Pocisk uderzył w dach, zginiatając połowę chałupy i ukazując izbę z ocalałymi meblami i wiszącą pod powalą odzieżą. O brzasku zbudził ją niesiony przez wiatr pogłos. Wrzask, śmiech, szybko wypowiedane zdania.

Ktoś tu jednak żyje. Sól ziemi. Tej ziemi. Nasze syny.

Komendy i pojedyncze armatnie strzały. Potem huk, wizg i znów huk. Drżenie ziemi. I od nowa. Wymiana zdań i kamieni. Średniowieczna wojna oblężnicza przystosowana do warunków A.D. 1519. Ziemia ruszyła wokół słońca, zuchwali awanturnicy właśnie dopływali do krawędzi świata, minawszy Wyspy Korzenne, a tymczasem w Delvaros czas zatrzymał się sto lat temu. Miasto już się nie broniło, ale widocznie ktoś po tamtej stronie zapomniał odwołać rozkaz. Niewykluczone zresztą, że po prostu Delvaros miało przestać istnieć, bo horodniczy wychędożył niewłaściwą żonę, a na targu sprzedano szurzemu ochwaconego konia.

Kończył się jej prowiant, za chwilę będzie musiała dołączyć do psiej watahy. Gdy szukała czegokolwiek do jedzenia, w końcu natra-

fiła na żywych mieszkańców. Wychudzonych, brudnych nieszczęśników pochowanych po piwnicach, w pospiesznie wykopanych norach zastawionych sásokami, w ziemiankach wygrzebanych na podwórkach lub w zdeptanych i przysypanych popiołem ogródkach.

Był czas, gdy mieszkańcy Delvaros lubili słońce. Teraz czekali na mgłę, by się ukryć, i na deszcz, by się napić i obmyć. Życie zeszło pod ziemię. Przyszedł czas, gdy śmiali się zabójcy, a płakały rodziny ofiar. Zoria miała pewność, że czas, gdy zapłaczą zabójcy, nigdy nie nadejdzie.

Zaskoczeni jej obecnością chcieli zabijać gołymi rękami, przeświadczeni, że oto nadeszła ich pora. Nie chcieli słuchać, pewni, że słowa straciły zwykły sens. Pierwszego uderzyła chudego młodego mężczyznę ze zmierzwną czarną brodą i rozpalonymi od gorączyki oczami. Dziewczyna, której bronił, niedawno urodziła. Siedziała w kącie, próbując karmić noworodka. Słono-słodki zapach krwi i wydzielin wciąż unosił się w pomieszczeniu. Na starej skrzynce leżały podplomyki i jakieś mazidło wyglądające jak smalec z psa. Chudzielec bił się jak dzieciak. Młócił chudymi rękami na ośle, gryzł i szarpał, gotów zginać. Drugą uderzyła kobiecinę, która zaczęła się na nią w spichrzu, dzierżąc w drżących rękach solidny ożóg. Drag był dla niej zbyt ciężki, nie dała rady wziąć odpowiedniego zamachu. Następna była piegowata dziewczyna z oparzoną głową, miała na oko z piętnaście lat. Z jednej strony ocalał ryży warkocz, drugą przykrywał zaschnięty niemal czarny strup. Był z nią chłopak, młodszy, może jej brat. Oboje tak brudni, jakby byli częścią rumowiska. Potem przestała liczyć. Potrzebowała jedzenia, wody i informacji, gdzie stoi kamienica Charbinów. Okazało się, że najłatwiej było zdobyć adres.

Ulicę Kramarską zasypał gruz. Większość kamienic była uszkodzona. Zwalone ściany odkrywały wnętrza mieszkań, wstydlive sekrety i upodobania właścicieli. Krzywo wiszący obraz z wdzięczącymi się naguskami, cytra, rozsypane kapelusze pani domu. Zdobiające je pióra wdzięcznie falowały na wietrze. Stosy odpadków, szmat, połamanych sprzętów. Między kawałkami cegieł i tynków żerowały wrony i węszyły psy. Jeden z kundli wyszarpywał coś spod pękniętego tramu. Zoria wycofała się do sieni i weszła do sąsiedniego budynku, licząc, że znajdzie sposób, by przedostać się na sąsiednią

ulicę. Na ocalałym podwórzu przywitały ją donica z obeschniętym pomarańczowym drzewkiem i ławeczka dla zakochanych. Obok ławeczki leżał szczur. Nietknięty. Zoria zakłęła pod nosem, rozejrzała się wokół. Nie znalazła ani patyka. Połamała pomarańczowy kikut, skrzesła ogień nad truchłem, czując bezużyteczność spóźnionego działania. Miała pewność, że szczurza armia Morowej Panny dokończy rozpoczętego przez ludzi dzieła w sposób nie mniej okrutny.

Późnym popołudniem stanęła przed kartuszem Charbinów. Dach kamienicy zmiotło wraz z trzema ścianami piętra. Ocalały czwarta, wspólna z sąsiednim budynkiem, i niewielki fragment narożnika. A w nim nietknięty piec w szmaragdowych kaflach. Wspięła się na piętro, wychyliła zza resztki ściany. Popękana szachownica posadzki i balkon ze szczerbami kamiennych tralek. Między tralkami ustawiono ludzką głowę, jakby miała wypełnić powstałą dziurę. Głową bardzo interesowały się kawki i gawrony. Z chęcią podleciałyby na posiłek, ale drażniła je obecność człowieka. Rumowisko bogatego życia. Szczątki biblioteki, karty i księgi nadpalone i spuchnięte od wilgoci. Szmaty z bogatych materiałów, cudem oszczędzony kałamarz z niebieskiego szkła. Rozlany atrament dziwnie skojarzył się Zorii z krwią.

Na balkoniku stał zbrojny. Nieogolony, bez hełmu, w poluzowanym napierśniku. Pod pachą trzymał rękawice. Za nim, pod resztką ściany, siedziało jeszcze dwóch, szarych jak otaczający ich gruz. Opowiadali sobie przygody z wojny. Musiały być bardzo zabawne, bo co jakiś czas wybuchali śmiechem. A potem z dołu nadeszły psy. Stado stanęło pod balkonem i zaczęło wyć. Zbrojny zniknął w ciemnym otworze ocalałej kuchni. Po krótkiej chwili wrócił, trzymając sporej wielkości szmaciany toboł. Niedbale rzucił go na ziemię.

Dziecko.

Jego kompani podnosili się, otrzepywali z pyłu. Zaczęli mówić jeden przez drugiego, ktoś zaklął. Wołany Andrykiem podszedł do nich, rzucił grubym słowem. Zarechotali. Jeden z nich przywłókł kawał stropowej belki, rzucił przy zwłokach, aż wzbił się kurz. Splunęli w pył, otrzepali ręce. Jakby to miało jakieś znaczenie w samym środku umierającego Delvaros. Dźwięk dobywanego miecza. I milczenie.

Andryk poszatkował ciało sprawnie. Widać było, że dla niego to nie pierwszozna. Wtedy w głowie Zorii coś się wyłączyło, a czerwona mgła zaczęła przesłaniać widzenie. Przesłoniła wszystko, z wyjątkiem Andryka, belki i nieruchomego ciała. Rzucił je psom. Po kolei, kierując porcje do każdego z osobna. Jego kompani dziwnie zamilkli, ale Andryk jakby tego nie zauważał. Gadał w powietrze. A może gadał do psów.

Czas przyspieszył. Zoria przeskoczyła przez mur. Jeden, który tam zalegał, nie przeżył. Ostrze przecięło pierścienie koszuli, gładko weszło pod mostek. Dwaj pozostali z rykiem rzucili się w pościg. Spod butów wzbil się kurz. Zoria skoczyła przewrotem w ciemny otwór klatki schodowej, modląc się w duchu, żeby schody wciąż tam były.

Kończmy to, bo mam tu coś jeszcze do załatwienia.

Mężczyzna kulił się pod piecem, przyciskając długą na pół łokcia ranę na udzie, spomiędzy palców płynęła ciemna krew. Miał szansę przeżyć, jeśli jej bardziej nie zezłości. Odwróciła się.

– O matko...

Zawsze wtedy wołają matki, jakby wstydu nie mieli. Rada bym się dowiedzieć, czy rodziły ich po to, by zabijali inne matki i ich dzieci.

Ona nie zamierzała bawić się ani w matkę, ani nawet w siostrę miłosierdzia. Nachyliła się nad Andrykiem. Żył jeszcze. Jego twarz przybrała barwę wszechobecnego popiołu.

– Czemu to zrobiłeś, sukinsynu? – zagadnęła. – Mało ci krwi? Trzeba było iść w pole, stanąć w pierwszym szeregu, a nie chować się po cudzych domach jak szczur. Chcesz coś powiedzieć? Że nie żył już? Dzieciak nie żył, powiadasz? Możliwe. Możliwe też, że zatłukłeś go wcześniej, bo zobaczył, jak zabawiasz się z jego siostrą.

Andryk poruszył siniejącymi ustami.

– Nie ma u was zwyczaju chować zmarłych? A tak, wojna jest. Szkolono was, by zabijać, nie opłakiwać. – Popatrzyła na gnijącą między tralkami głowę, na rozdrapane szczątki pod balkonem. Psy poszczekiwały, jakby chciały ją ponaglić.

– Chciałem nakarmić psy – wyszeptał Andryk. – Lubię psy. Są lepsze niż ludzie.

Szmaragdowe kafle nedorzecznie lśniły w popołudniowym słońcu.

Dzień później o zmierzchu wróciła pod kamienicę Charbinów. Budynek stał niemal nienaruszony, choć kartusz diabli wzięli. Otwór bramy poszerzyła kula, trafiając dokładnie w kamienny honor rodu.

Bogaci zwykle mają więcej szczęścia niż biedni.

Dwa trupy wciąż zalegały na posadzce, rannego nie było. Może zatamował krwotok i dowlókł się do swoich, jeśli tacy gdzieś się dekowali. Nie poczuła ulgi. Przetrzęsała ruiny w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku obecności mieszkańców. Trochę jej zeszło, zanim ich znalazła. Stary Charbin wraz z kulawą siostrą, dzieciakiem i dwójką służących wprowadzili się do piwnic, wraz ze szczurami. Wejście ukryli za pustymi beczkami po winie. Całkiem wygodnie się tam urządzili. Koberce, pościele, srebrna zastawa, lichtarze, istny sezam, w którym można umrzeć z głodu. Chłopak miał może osiem lat, był rówieśnikiem tamtego.

Los dał, los zabrał. Szkoda, że nie wyjaśnił dlaczego.

Wychudzony, patrzył na świat spod oka. Paznokcie i palce miał obgryzione do krwi, a jego adamaszkowe spodenki ze złotym inicjałem na biodrze zalatywały moczem.

Złe nowiny rozchodzą się szybciej niż wiatr. Gdy dotarła z chłopakiem do Beligradu, o zamordowaniu niejakiego Andryka Huma, kondotiera, dowódcy oddziału broniącego Delvaros, już się mówiło. Z dala od pola walki nowina nie brzmiała groźnie. W tym samym bowiem czasie szlag trafił też kapitana wojsk Jego Królewskiej Mości Veselina Kerestesa, wielmożnego Magnusa Kromera, co miało znacząco wpłynąć na tłący się kosopolski konflikt. Przyczyną zgonu była podobno gangrena rany kłutej boku, choć niektórzy szeptali, że zabił go przyboczny, trując makowe mleko. Zapił się na śmierć arcy-pasterz chramu w Kundalinie, niejaki Lesto, o przekornym nazwisku Gład. Dla wiernych nie było to zaskoczeniem. Dla zwierzchników i kumpli okazało się trzeźwiące, niestety nie na długo. Zmarła też matka sławnego poety Rubina Firleja. W swoim łóżku i ze starości, do końca czuła dumę ze sławy syna. Nie dowiedziała się natomiast, że jej oczko w głowie, tak uparcie pozostające w stanie bezzennym, wykazuje szczere i gorące upodobanie do mężczyzn.

Groźnie zrobiło się dopiero wtedy, gdy wieść dotarła do wsi Vojska, z której pochodził Andryk Hum, niegdyś zabijaka, potem waleczny witaż, nareszcie kondotier Wilczej Roty i drugi mąż mającej kuzynki grododzierzcy Beligradu.

Wtedy właśnie zaczęła się ta nieszczęsna historia.

Podziękowania

Ta opowieść powstała z niezgody i niezaspokojenia. Z niezgody na wzorzec bohaterki przedstawiany w narracjach zarówno męskich, jak i kobiecych. Niezaspokojona pragnęłam Łotrzycy, która poprowadziłaby mnie przez swój świat bezczelnie i bez poczucia winy. Kobiety, dla której odnośnikiem nie jest dziecko lub mężczyzna u jej boku. Bohaterki, której nie określa wiek ani płeć. W literaturze takich postaci jest niezwykle mało i często są obsadzone w kłopotliwych rolach. Zmęczona wieloletnim szukaniem postanowiłam taką historię napisać.

Mówiono mi, że to się nie uda. Że wydawcy nie lubią tematów pod prąd, niezdefiniowania gatunkowego, odrzucenia schematu. Że płynność ról i relacji jest problemem. A przede wszystkim nie lubią bohaterek, które nie mówią „kocham cię” i nie są młode. A jednak spotkałam niezwykle osoby, które sprawiły, że opowieść o Łotrzycy ukazuje się w Wydawnictwie Księgarnia Akademicka.

Dziękuję Robertowi Ostaszewskiemu, który przez niemal dwa lata z czułością burzył konstrukcję powieści, wierząc, że potrafię skomponować tę historię lepiej. I szczerze polubił bohaterów.

Dziękuję Krzysztofowi Zajasowi, przewodniczącemu jury konkursu im. Macieja Słomczyńskiego i redaktorowi wydania – bez jego życzliwości i determinacji *Łotrzyca* tułałaby się po bezdrożach wydawnictw. Mimo że bohaterka czasem go irytowała.

Dziękuję Markowi Jaczyńskiemu, który wierzył i wierzy we mnie i w bohaterkę, mimo że obie solidnie go wkurzamy.

Dziękuję prof. Gabrieli Matuszek-Stec za szansę rozwoju dzięki uczestnictwu w SLA i za nieustające wsparcie i życzliwość.

Dziękuję także moim przyjaciółom, czytelniczkom i czytelnikom wersji beta za to, że poszli za wolną najemniczką jak w dym i wrócili, cali i zdrowi. Z przekonaniem, że *Łotrzyca* powinna wyruszyć w świat i że da sobie radę.

Bez Was mogło się jej nie udać.

Spis treści

Preludium

W którym na krócej, dłużej lub na wieczność idzie spać
rozsądek, miasto Delvaros, Andryk i szczury. Budzą się
złudzenia, pragnienia i żądze, miłosne lub mściwe, a także,
mimoходом, świadomość. 5

Rozdział 1

W którym wojna prowadzona pewną ręką Oracza i jego
okrutnych pomagierów tropi ofiary po wsiach i domostwach,
a Vestar, idący jej krwawym śladem, spotyka Dagę. Oboje
znajdują chwilę wytchnienia, której próżno będzie szukać
ich córka. 15

Rozdział 2

W którym Daga opiekuje się staruszką, staruszka Dagę,
a Mara i bohynię – dziećmi na kamieniu urodzonymi.
Vestar zaś przypomina sobie o niewypełnionym
zobowiązaniu. 23

Rozdział 3

W którym Lovro próbuje uporać się z miłosnym
rozczarowaniem, zaglądając w obsydianowe zwierciadło,
a Bursztynowa Ylla przeszukuje bibliotekę z podobnego
powodu. Lovro miesza pojęcia, Ylla zaś myli się w ocenie
sytuacji. 37

Rozdział 4

W którym los prowokuje Vestara i Jadrana, Jadran
prowokuje los w osobach Josza i Seleny, Birkut też daje się
sprowokować, a mury Kher Verde znoszą wrzaski
ze stoickim spokojem. 49

Rozdział 5

W którym Kotryna nie chce umrzeć, Wirszyn nie chce gadać, Josz nie chce pocałować babki w rękę, a Jadran chce jak najszybciej wyjechać. Jednak raz splecionych nici losu nie sposób rozplątać. 73

Rozdział 6

W którym Ketri spogląda w okrutne oczy Josza, Josz spogląda w okrutne oczy Vestara, a Daga nie chce go więcej widzieć. Daleko, nad Morzem Hadrijskim, Lovro samotnie patrzy w zwierciadło. 89

Rozdział 7

W którym Vestar robi rachunek sumienia, a Josz nie odrabia lekcji. Jevka i Zoria wypłakują niewypłakane, Jevka traci syna, a Zoria zyskuje brata. Lovro tropi ślady Ylli, a te prowadzą go w nieoczekiwane miejsca. 103

Rozdział 8

W którym Zoria dowiaduje się, czym jest frequens mortus, jutrenka, węglik, stal z Shivaliq, a także canular zmieszany z požądaniem. I czym nie jest braterstwo. Jadran zyskuje, Vestar traci, Zoria zaś – jedno i drugie.. 129

Rozdział 9

W którym plotki na rynku w Pridrodze psują apetyt, śpiew trubadura poprawia humor, a tylek świerzba okazuje się nieoczekiwane miarą przyrodzenia. Vestar traci zimną krew, a Jadran nie wie, co traci.. 165

Rozdział 10

W którym Zoria traci głowę, trzeźwy osąd i verinys, Lavrent traci czujność, słodkości zmieniają smak, a smród ptasiego cmentarzyska działa jak sole trzeźwiące. 191

Rozdział 11

W którym białe mankiety pokazują i ukrywają zarazem, suknie nie pasują, powietrze gęstnieje, a czas staje w miejscu. Uparty i wścibski syn płatnerza omal nie przypląca nadmiernej ciekawości życiem.. 211

Rozdział 12

W którym Zelenko chowa się pod szynkwą, Daniło nie zostaje duszą towarzystwa, zaś z jego kompanów uchodzą dusze. Lovro drapie strup na starej ranie, a Nikołaj zostaje okradziony z miecza i banalnych wyobrażeń.....231

Rozdział 13

W którym czystość wyszynku jest wprost proporcjonalna do ceny trunków, czystość ciała nie idzie w parze z czystością myśli, zaś czystość moralna rzadko kiedy związana jest z czystymi intencjami.....257

Rozdział 14

W którym Zoria czuje się winna, choć nie popełniła błędu, ten, kto zawinił, czuje się bezkarny, a kto nie okazał się przyzwoity, przeprasza.285

Rozdział 15

W którym zimowa koliada łączy zarówno mężczyznę z kobietą, jak i to, co wydawało się nie do pogodzenia. Zoria i Nikołaj błądzą i nie zamierzają wracać.293

Rozdział 16

W którym szczególnie ceni się córki, a one odpłacają się z nawiązką. Docenia się widowisko i niedocenia aktorów. Plotki także pozostają niedocenione.305

Rozdział 17

W którym rozstania prowadzą do spotkań, aliści spotkania prowokują domysły i kończą się rozstaniami. Anonse donoszą uprzejmie, złorzeczą, proszą bądź obiecują cuda na kiju. A w mroku Thurso rozlicza dług Zorii.331

Rozdział 18

W którym padają różne, mniej lub bardziej wiarygodne oskarżenia. Przy bliższym poznaniu Neven Goryvoda zyskuje, natomiast królowa Enkelena traci. Zamek Kver okazuje się miejscem niegościnnym, a na zamku Dhurvalde straszy.355

Rozdział 19

W którym Vestar i Zoria solidarnie pakują się w kłopoty, nikt niczego nie pamięta, a Lovro jest prawdziwie wstrząśnięty. Siłę czerpie się od bliskich, ale bez umiejętności okazuje się niewiele warta.385

Rozdział 20

W którym Enkelena wykazuje się cierpliwością, Zoria – brakiem manier, a Neven Gorywoda musi to wszystko znosić. Lovro tymczasem w poszukiwaniu spokoju pospiesznie wyjeżdża na północ.413

Rozdział 21

W którym Nikolaj rozumie, że nie znaczy nie, Zoria nie bardzo rozumie, czego pragnie, Jagorta myśli, że rozumie, zaś Selenia rozumie znacznie więcej, ale nie zamierza się swoją wiedzą dzielić. A w tym wszystkim instynkt życia ściera się z pragnieniem śmierci.437

Rozdział 22

W którym aptekarze pierwsi wiedzą, co się dzieje w mieście, Lovro też tak chciałby, ale musi sobie na ten przywilej zapracować. Maslav buntuje się przeciwko śmierci, a Yolana natarczywie przygląda się Lovrovi.455

Rozdział 23

W którym Nikolaj podejmuje próbę uporządkowania życia uczuciowego, w czym przeszkadza odkryta przez Zorię tajemnica Jadrana o wdzięcznym imieniu. Tropiciele wykonują swoją robotę, podobnie konfidenti, choć niektórzy zapominają wliczyć ryzyko zawodowe do kosztów uzyskania przychodu.477

Rozdział 24

W którym w Dhurvalde znowu straszy, w księgach niejaki Agostino pisze o zarodkach rozumowych, a Zoria patrzy w oczy Ylli. Nie należy wierzyć trupom, ale przyjaciółom można, jeśli się bardzo chce.517

Nota bibliograficzna.535

Posłowie.539

Podziękowania.545

W Serii Studium Literacko-Artystycznego UJ ukazały się następujące pozycje:

- Tom 1: *Slang*, red. Anna Piekara, Ewa Wawrzyńska (2007)
- Tom 2: Ewa Wawrzyńska, *Bagaż podręczny* (2007)
- Tom 3: Kamil Majewski, *Panta Deus* (2009)
- Tom 4: Justyna Machałowska, *Uda na których śpią psy* (2009)
- Tom 5: Agnieszka Czachor, *Cisnij piorunem nawet w śmierć* (2009)
- Tom 6: Stefan Gajda, *Mgła. Opowiadania* (2010)
- Tom 7: Katarzyna Janicka, *Prospect Park Stories* (2014)
- Tom 8: Ewa Szumowska, *Jaspiska Wola* (2014)
- Tom 9: Michał Kozłowski, *Gadane* (2014)
- Tom 10: Tomasz Nowak, *Tak i na ziemi* (2015)
- Tom 11: *Twórcze pisanie w teorii i praktyce*, red. Gabriela Matuszek i Hanna Sieja-Skrzypulec (2015)
- Tom 12: Tatiana Judycka, *Klisze* (2015)
- Tom 13: Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, *Szczęściodyły* (2016)
- Tom 14: Radosław Medard, *Zuñihitsu. Z nicości w nicość* (2016)
- Tom 15: Joanna Kocik, *Kocie skórki* (2016)
- Tom 16: *SLApidarium. Antologia utworów absolwentów Studiów Literacko-Artystycznych UJ, na 25-lecie*, red. Jadwiga Graboś, Krysztyna Czarnecka, Gabriela Matuszek-Stec, Mateusz Skucha (2019)
- Tom 17: *Następni. Antologia słuchaczy Studiów Literacko-Artystycznych UJ*, red. Jarosław Księżyk, Jerzy Franczak (2019)
- Tom 18: Ewa Jarocka, *Dresik* (2020)
- Tom 19: Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, *Dzielnica (bez) cudów* (2020)



Katarzyna Klakla – urodzona w Krakowie.

Ukończyła studia magisterskie i doktoranckie na Wydziale Architektury PK oraz Studium Literacko-Artystyczne UJ. Autorka tomiku *Żaloba po kocie* (FDF, 2020), współautorka dzienników czasu pandemii *Jutro nie mieści się w głowie* (Blue Bird 2020). Maluje, fotografuje, projektuje wnętrza oraz grafikę użytkową. Pisze prozę i poezję. Nominowana w 7. Konkursie Fundacji Dużego Formatu, w Ogólnopolskim Konkursie na Autorską Książkę Literacką Świdnica 2019 i 2020. Wyróżniona w 15. Konkursie im. K. Ratonia oraz w Konkursach Poetyckich Babińca Literackiego.

Wprawdzie akcja dzieje się w pierwszej połowie XVI w., jednak dramatyczne sceny czystek etnicznych i masowych rzezi nieodparcie każą myśleć o wojnach bałkańskich sprzed trzech dekad, kiedy rozpadała się Jugostawia. W baśniową fikcję sprzed wieków wdzierają się nagle współczesność, jak memento. [...] Pod powierzchnią wielowątkowej, skomplikowanej narracji fantasy toczy się druga opowieść, poważna i – powiedziałbym – bardziej realistyczna, o trudnym znajdowaniu sobie miejsca w świecie. Zoria szarpie się, nie chce zbyt łatwo ulegać powtarzanym przez starszych banałom, że „tak to już w życiu jest”. Ciągłe przegrywa, ucieka – i wraca, bo ucieczki nie ma. [...] Wyraźnie zaznaczona konwencja jest solidnym podwoziem, na którym sunie wehikuł wielowątkowej i na różne sposoby absorbującej literatury, pozostawiającej również pole dla niebanalnych interpretacji. Zabierzcie się z nim w drogę, a nie pożałujecie!

Z postawia Krzysztofa Zajasa

Zoria z *Łotrzycki* jest bohaterką w dosłownym, nie tylko literackim sensie tego słowa, prawdziwą i wielowymiarową. Dla mnie przede wszystkim dlatego, że walczy o własną wolność i niezależność w nieprzyjaznym i brutalnym świecie patriarchalnej opresji. Bohaterką jest też Katarzyna Klakla, bo stworzyła wyjątkowe fantasy, w którego centrum stoi kobieta, a do tego wykreowała wielki, ciekawy, dopracowany w najdrobniejszych szczegółach świat powieściowy. Jednak aby pisać dobrą prozę, samo bohaterstwo czy odwaga nie wystarczą. Ani nawet sam talent. Do tego potrzebna jest wielka praca i umiejętności. A te Katarzyna Klakla ma, jak na debiutantkę, wręcz imponujące.

Robert Ostaszewski



<https://akademicka.pl/>



www.sla.polonistyka.uj.edu.pl
Pierwsza w Polsce „Szkoła Pisarzy”



9 788381 381468